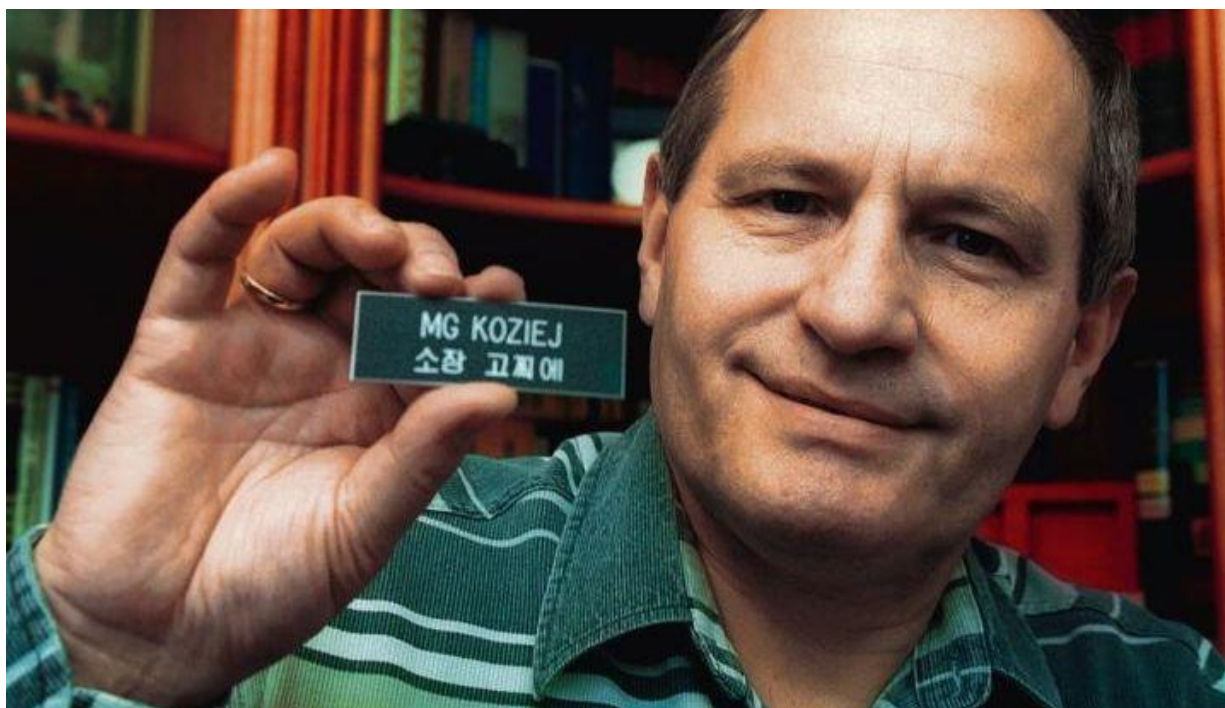


RZECZPOSPOLITA

Plus Minus

• 10.03.2018

Koziej: Poradziłem sobie z szogunem



Generał Stanisław Koziej
Rzeczpospolita, Bartłomiej Zborowski
[Eliza Olczyk](#)

Moim zdaniem pomnik upamiętniający ofiary tragedii smoleńskiej powinien być stanąć przed Pałacem Prezydenckim. Głównie dlatego, że Polacy w tym miejscu spontanicznie się gromadzili po katastrofie.

Rz: Jest pan jedynym szefem BBN, który został szogunem, czyli japońskim generałem. Jak się pan z tym czuje?

Generał Stanisław Koziej: Nie wypieram się szoguna, przeciwnie, nawet się nim szczycę (śmiech). Gdy odchodziłem z BBN, powiedziałem, że tytułu szoguna nie zostawiam mojemu następcy, bo to nie jest tytuł przechodni. Szogun wziął się z prostego przypadku – byliśmy z prezydentem Bronisławem Komorowskim na rozmowie z delegacją japońską. Tłumaczka, przedstawiając mnie i opisując moje stanowisko, użyła określenia „jak szogun w Japonii”. Prezydentowi bardzo się to spodobało, ma żartobliwy styl bycia. Byliśmy zresztą i jesteśmy do dziś bliskimi przyjaciółmi. Podczas zwiedzania parlamentu zawołał do mnie: „chodź, szogunie”. Nie traktowałem tego jako uchybienia, wręcz przeciwnie – jako fajny żart, ale później zostało to podchwyczone przez media, jak to w życiu – trochę żartobliwie, trochę złośliwie, ale też i w złej intencji w ramach hejtu politycznego. Piosenka nawet na ten temat powstała. Gdy z zaskoczenia puścił mi ją w radiu Konrad Piasecki, powiedziałem, że to będzie hymn szoguna i rozpocząłem operację... „oswajania” tego żywiołu (śmiech).

Słowa „chodź, szogunie” stały się motywem przewodnim kampanii prezydenckiej 2015 roku.

Nie tyle te słowa, ile rzekome wchodzenie prezydenta na krzesło w japońskim parlamencie. Cała ta historia została sfabrykowana na potrzeby oszczerczej kampanii wyborczej. Nie było żadnego krzesła, tylko specjalny podest, na którym deputowani stają, gdy chcą podać pismo marszałkowi. Tymczasem z prezydenta Komorowskiego zrobiono osobę, która nie wie, jak się zachować. W kółko puszczano ten filmik z kłamliwym komentarzem. Tamta kampania była prowadzona w sposób obrzydliwy.

Trzeba się było bronić. Mówić, jak było naprawdę.

W takiej atmosferze prawda się nie przebija. Ja z szogunem sobie poradziłem. Nie próbowałem z tym walczyć, tylko obróciłem cały incydent w żart. Mam na Twitterze dzielną i wierną dywizję szoguna (śmiech). Na potrzeby Wielkiej Orkiestry Świątecznej pomocy kazałem zrobić kubki z moim zdjęciem i słowami „chodź, szogunie”. Sprzedały się za spore pieniądze. W krytycznych momentach jakiegoś politycznego ataku na mnie odwołuję się do szoguna i to pomaga. Natomiast prezydent Komorowski został obrzucony błotem.

Poznał pan dwóch prezydentów. Pracował pan w BBN nie tylko u Bronisława Komorowskiego, ale też u Lecha Wałęsy.

Nie tylko. Współpracowałem również z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Pracowałem wówczas w MON, gdzie przygotowywaliśmy dokumenty strategiczne, które prezydent musiał zatwierdzać. Pamiętam, że gdy pewnego razu byłem u niego z najtajniejszym dokumentem – „Polityczno-strategiczną dyrektywą obronną” (w istocie planem obrony państwa), fotograf przy wyjściu „napstrykał” mi zdjęć z komentarzem: „pewnie jest pan kandydatem na nowego szefa Sztabu Generalnego, przydadzą się”.

Działal pan na pograniczu dwóch dziedzin – wojska i polityki.

Za prezydentury Lecha Wałęsy BBN było dopiero budowane. Szukano pracowników i ktoś mnie wypatrzył w Akademii Obrony Narodowej. Chyba z tej racji, że w AON napisałem i opublikowałem projekt nowej doktryny obronności Rzeczypospolitej Polskiej, której duże fragmenty znalazły się w wydanych w 1992 roku oficjalnych założeniach obronnych państwa sygnowanych przez prezydenta Wałęsę. Zaproponowano mi stanowisko wicedyrektora departamentu. Szefem BBN był wówczas minister Jerzy Milewski, natomiast ministrem ds. bezpieczeństwa Lech Kaczyński.

Poszedłem na rozmowę z Milewskim, zostałem przedstawiony Lechowi Kaczyńskiemu, który niespecjalnie zwrócił na mnie uwagę, i tak rozpoczęła się moja praca w BBN.

To był czas burzliwych wydarzeń na scenie politycznej.

To prawda. Obowiązywała wówczas tzw. mała konstytucja, dająca prezydentowi duże uprawnienia w zarządzaniu trzema ministerstwami: MSW, MSZ i MON. Prezydent Wałęsa wykorzystywał te kompetencje zwłaszcza wobec ministra obrony narodowej. Starał się narzucić mu swoje decyzje, ale ze strony rządowej często napotykał opór. W tamtym okresie zaczęły się tarcia między obozem prezydenckim a rządowym, które obserwujemy do dzisiaj. Najgłośniejszą sprawą był oczywiście tzw. obiad drawski, symbol tych tarć.

Chodzi o bunt generałów przeciwko cywilnemu ministrowi. Patronował temu buntowi prezydent Wałęsa.

Generał Tadeusz Wilecki, ówczesny szef Sztabu Generalnego, nie chciał współpracować z ministrem obrony narodowej, tylko bezpośrednio z prezydentem. Zapewne liczył, że łatwiej mu będzie owinąć sobie wokół palca głowę państwa niż szefa MON, za którym stała spora machina urzędnicza. To doprowadziło do konfliktu, w którego wyniku odwołany został minister Piotr Kołodziejczyk, notabene były wojskowy, admirał. Prezydent stanął wówczas po stronie gen. Wileckiego. Dla większości wojskowych była to ogromnie niezręczna sytuacja.

Dlaczego?

Uważaliśmy, że kształtowanie cywilnej kontroli nad armią jest bardzo ważne. Tyle że obóz Solidarności, który doszedł do władzy, nie miał ludzi przygotowanych do pełnienia funkcji szefa

MON. Dlatego pierwsi cywilni ministrowie obrony byli do pewnego stopnia ubezwłasnowolnieni przez szefa Sztabu Generalnego. Zwłaszcza gen. Wilecki, który był silną osobowością, starał się zagarnąć jak najwięcej władzy. Jako jednocześnie dowódca Sił Zbrojnych decydował o tym, co mogą wiedzieć o armii ministrowie. Dlatego ci z kolei szukali sposobów, żeby nie dać się zdominować. M.in. po obiedzie drawskim, gdy minister Jerzy Milewski przechodził z BBN do MON, zabrał ze sobą cały mój departament. Zbudowaliśmy w resorcie strategiczny departament systemu obronnego, który później przez całe lata 90. był swoistą przeciwwagą dla Sztabu Generalnego. Siłą rzeczy byłem więc uwikłany w spory między kolejnymi ministrami obrony a szefami Sztabu Generalnego.

Stał pan po stronie ministra. Koledzy wojskowi nie mieli do pana pretensji, że jest przeciwko nim?

Mieli. Kiedyś wezwał mnie gen. Wilecki do Sztabu Generalnego. A ja go znałem jeszcze z wcześniejszych czasów, gdy byłem jego zastępcą w sztabie Śląskiego Okręgu Wojskowego, i wysoko ceniłem jako wojskowego fachowca. Sugerowałem, w odpowiedzi na pytanie ministra Milewskiego, właśnie jego kandydaturę na szefa Sztabu Generalnego. Nawiasem mówiąc, we Wrocławiu przypadkowo zorientowaliśmy się, że jesteśmy też sąsiadami z lubelskich wiosek: ja urodziłem się w Glinniku, on u babci w sąsiednim Wielkim w powiecie lubartowskim. Tak więc wezwał mnie szef Sztabu Generalnego i mówi: „Stasiu, dlaczego ty pomagasz temu Milewskiemu w walce ze mną?”.

Co pan odpowiedział?

Odparłem, że doradzam ministrowi zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą, a cywilna zwierzchność nad armią jest warunkiem demokracji. Przestał do mnie mówić po imieniu (śmiech).

Generał Waldemar Skrzypczak uważa, że od czasu obiadu drawskiego politycy przestali ufać generałom.

Zgadzam się. Ten incydent wyrządził bardzo dużo szkód. W świat poszedł sygnał, że wojsko polskie nie chce się poddać cywilnej kontroli.

Generałowie, którzy uczestniczyli w głosowaniu nad odwołaniem szefa MON, stali się podejrzani. Już nie byli pierwsi w kolejce do awansu. Politycy zaczęli szukać nowych, zaufanych wojskowych na najwyższe stanowiska. W wojsku obowiązuje zasada, że żołnierz w mundurze nie miesza się do polityki, a oni się wmieszali. Wszelkie wypowiedzi zdradzające sympatie polityczne są niedopuszczalne. Taki żołnierz powinien natychmiast być zdegradowany i wyrzucony z wojska.

Tak pan mówi, a przecież pan sam wmieszał się do polityki. Kandydował pan do Senatu z listy PO w 2005 roku.

Inna sprawa z byłymi żołnierzami. Oni stają się normalnymi obywatelami. Nie wolno im tylko nadal ujawniać tajemnic wojskowych. W demokracjach byli wojskowi bardzo często stają się politykami, obejmując nawet najważniejsze stanowiska państwowe, jak np. gen. Dwight Eisenhower, Charles de Gaulle lub Winston Churchill. Gdy ktoś jest w cywilu, może robić, co chce, pod warunkiem że nie wykorzystuje munduru. Dlatego np. bardzo nie podoba mi się zachowanie pułkownika Adama Mazguły, który chodzi na demonstracje antyrządowe w mundurze. To jest karygodna sprawa. Munduru w kampanii politycznej wykorzystywać nie wolno.

Dlaczego kandydował pan do Senatu?

W 2005 roku byłem już poza wojskiem i szukałem miejsca dla swojej aktywności. Spotkałem się z Bronisławem Komorowskim i rozmawialiśmy, czy to dobry pomysł, abym kandydował z list PO do parlamentu. On się nawet ucieszył i zaproponował mi start do Senatu w obwodzie siedleckim. PO nie miała tam żadnego poparcia i nikogo nie wystawiała. Zgodziłem się i... przegrałem. Nie wszedłem do Senatu. Dziś myślę, że to nawet dobrze, bo chyba bym się nie odnalazł w obecnej polityce. Czasami mam wrażenie, że politycy nie mogą być sobą, muszą wręcz się siebie zapierać, mówić publicznie coś, w co sami nie wierzą. Ja bym się do tego nie nadawał. Więc dobrze, że nie zostałem partyjnym politykiem.

Wróćmy do obiadu drawskiego. Media spekulowały, że jednym z powodów tego buntu generałów było to, że Sztab Generalny chciał odebrać szefowi MON kontrolę nad Wojskowymi Służbami Informacyjnymi.

WSI były wówczas bardzo blisko z szefem Sztabu Generalnego. Ówczesny szef WSI gen. Konstanty Malejczyk był bliskim kolegą gen. Wileckiego. Obaj zostali podsłuchani, jak rozmawiali o handlu bronią, co było nieprzyjemnym epizodem. Szef Sztabu Generalnego, jak się okazało, chciał nie tylko nadzorować wojsko. Rzecz w tym, że WSI były połączeniem wywiadu i kontrwywiadu i z tego powodu nie mogły podlegać Sztabowi Generalnemu. Natomiast sam wywiad wojskowy powinien mu podlegać. Dlatego moim zdaniem pomysł na rozwiązanie WSI i rozdzielenie wywiadu i kontrwywiadu był słuszny. Natomiast uczynienie z obu tych służb struktur paracywilnych, podmiotów administracji rządowej, a nie ogniw sił zbrojnych to była fatalna sprawa. Nie mówiąc o późniejszym ujawnieniu procedur i kontaktów w raporcie z likwidacji WSI. To była rzecz niedopuszczalna, antypaństwowa.

PiS, likwidując WSI, uważało, że oficerowie, którzy byli szkoleni w Moskwie, byli bardziej rosyjskimi agentami niż polskimi. A raport został opublikowany zgodnie z ustawą.

Nie można z góry zakładać, że każdy, kto był na szkoleniu w Moskwie, nie jest Polakiem i patriotą. Sam byłem na dwumiesięcznym kursie w Związku Radzieckim i tam się wręcz czuło opór kursantów przeciwko indoktrynacji. W takiej atmosferze – my, grupa polska, i oni, całe otoczenie radzieckie – niejako wyzwały się dodatkowe więzy solidarności i poczucia patriotyzmu wobec swojej ojczyzny.

Być może oficerowie szkoleni w Moskwie byli bardziej rozpoznani przez służby rosyjskie, może ciągnęli za sobą jakiś ogon. Ale należało ich zweryfikować (a to wszakże robiono), a nie likwidować całą służbę.

Czego chcieli generałowie, że tak walczyli z ministrami obrony narodowej?

Każdy generał na każdym szczeblu – od najniższego do najwyższego – chce dowodzić. To naturalne. Ale w demokracji ten najwyższy generał musi jednak dzielić się władzą z cywilnym zwierzchnikiem. Musi ustąpić z pozycji jedyne go najwyższego decydenta w strategicznych sprawach wojska na rzecz współdecydowania z politycznym zwierzchnikiem i potrafić być jego prawą ręką w sprawowaniu przezeń realnej władzy państwowej nad armią. I tego nie chcieli zaakceptować, a w dużej mierze do dziś nie bardzo chcą, moi koledzy w mundurach. To jest w jakiejś mierze chyba następstwo polskiej tradycji, z PRL włącznie, kiedy to wojskowi byli ministrami i najwyższymi decydentami także państwowymi w sprawach wojska. A ponieważ w okresie przejściowym cywilni ministrowie nie mieli wystarczających kompetencji, żeby wszechstronnie zarządzać wojskiem, to wojsko chciało w ogóle rządzić się samo.

Albo stać się użyteczne dla polityków. Na pewno pamięta pan słynną historię Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych, które podobno miały zostać użyte do utrzymania u władzy odwołanego rządu Jana Olszewskiego w czerwcu 1992 roku.

O tej sprawie wiem tylko tyle, ile przeczytałem w różnych dokumentach. Myślę, że to był przykład trudności w komunikacji między cywilnym zwierzchnictwem a żołnierzami. Żołnierze są przyzwyczajeni do jasnych rozkazów. A jeżeli dowódca Nadwiślańskich Jednostek został wezwany do cywilnego zwierzchnika w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który nie bardzo wiedział, jak mu postawić zadanie, i usłyszał, że ma być bardziej czujny, to zinterpretował to jako postawienie żołnierzy w stan gotowości. Tak to sobie wyobrażam. Nie sądzę, by było to przygotowywaniem puczu wojskowego, raczej komedią pomyłek.

W 2005 roku został pan wiceszefem MON w rządzie PiS, co było dość zaskakujące po tym, jak kandydował pan do Senatu z listy PO.

Nie tak bardzo. To był okres nadziei na PO–PiS. Obie te partie miały tworzyć rząd. A więc obóz PiS nie miał nic przeciwko, żeby ludzie tacy jak ja dołączali do ich rządu. Dostałem nawet propozycję, żeby zostać szefem MON w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, ale odmówiłem. Uznałem, że to byłoby politycznie nie w porządku w stosunku do Komorowskiego.

To dlaczego pan został wiceministrem?

Uznałem, że stanowisko podsekretarza ds. strategii i polityki obronnej jest bardziej fachowe niż polityczne i będę mógł kontynuować swoje koncepcje z niedawnego dyrektorowania w MON. Moim szefem był Radosław Sikorski. Poznałem też wtedy Aleksandra Szczygłę i bardzo się polubiliśmy. Byłem wielkim zwolennikiem armii zawodowej, a Szczygło zawsze mówił: tu mi kaktus wyrośnie, jak będziemy mieli armię zawodową. A potem, gdy wprowadziliśmy armię zawodową, do której i on się przekonał, pytałem go: Olek, no i gdzie masz ten kaktus?

Czy Sikorski czuł wojsko?

Tak. On patrzył na wojsko bardzo nowocześnie. Marzył, aby wykonało cywilizacyjny skok. Abyśmy mieli swoje satelity, roboty, bezzałogowce... Miał wizję wojska przyszłości. Dlatego bardzo dobrze mi się z nim współpracowało. Natomiast innym typem ministra był Szczygło. On był zakochany w wojsku. Cieszył się nim takim, jakie ono było. Wiele dla wojska robił – zarówno jako minister, jak i później jako szef BBN.

Choć to za jego czasów była spawa Nangar Khel, czyli ostrzelania przez naszych żołnierzy afgańskiej wioski. Najpierw surowo oceniał żołnierzy, ale później się z tego wycofywał.

Został pan szefem BBN w 2010 roku, zaraz po katastrofie smoleńskiej. Zajął pan miejsce właśnie po Szczygłe, który zginął w katastrofie. Nie czuł pan z tego powodu dyskomfortu?

To było trudne, bo Aleksander był moim kolegą. Atmosfera w BBN była ciężka. Mój poprzednik był lubiany w tym środowisku. Mimo to zostałem przyjęty dobrze. Pracownicy biura mnie znali, wielu z nich było moimi studentami z Akademii Obrony Narodowej. Najtrudniejsze dla mnie były pogrzeby kolegów generałów, na których musiałem, tłumiąc wzruszenie i łzy, wygłaszać przemówienia. Np. generał Franciszek Gągor był moim bardzo bliskim kolegą, przez parę lat kierowaliśmy w MON sąsiednimi departamentami. Dobrze się też znałem z biskupem polowym Tadeuszem Płoskim. Do dziś pamiętam to falowanie trumien niesionych na ramionach żołnierzy w rytm żałobnego marszu na wojskowym Okęciu.

„Odziedziczył” pan zespół zatrudniony przez Lecha Kaczyńskiego. Jak się z nim współpracowało?

To prawda. W samym BBN moimi zastępcami byli Witold Waszczykowski i generał Zbigniew Nowek. Znałem się z nimi z czasów rządu Marcinkiewicza. Z Witoldem współpracowaliśmy w zakresie bezpieczeństwa. On był wiceszefem MSZ odpowiedzialnym za te sprawy. Po pewnym czasie od objęcia urzędu przez Bronisława Komorowskiego Witold zaczął publicznie krytycznie się o nim wypowiadać. Nie mogłem tego akceptować. Najpierw zwracałem uwagę, potem zakazałem publicznych wystąpień. Ale to niewiele pomogło, a moim zdaniem lojalność urzędnicza obowiązuje każdego. W pewnym momencie, gdy z Kancelarii Prezydenta zaczęli odchodzić urzędnicy Lecha Kaczyńskiego, np. Jacek Sasin, spytałem obu moich zastępców: panowie, a co z wami? Wtedy sami podjęli decyzję, że odchodzą.

Czy pana zdaniem ówczesny minister obrony narodowej Bogdan Klich powinien podać się do dymisji po katastrofie smoleńskiej?

Gdyby nie było takiej strasznej nagonki politycznej na niego, to byłoby naturalne, że szef MON po takim zdarzeniu podaje się do dymisji. Ja bym się podał. Natomiast staram się zrozumieć sytuację człowieka, którego opozycja z miejsca obsadza nieomal w roli mordercy. Podanie się do dymisji byłoby przyznaniem się do winy. Przypuszczam, że dlatego nie złożył urzędu.

A czy PO słusznie postąpiła, torpedując pomysł postawienia pomnika upamiętniającego ofiary katastrofy przed Pałacem Prezydenckim?

Moim zdaniem ten pomnik powinien być tam stanąć. Głównie dlatego, że Polacy w tym miejscu spontanicznie się gromadzili po katastrofie. Ale ta atmosfera personalnych oskarżeń, presja nienawiści, sprawiła, że decyzji w tej sprawie nie podjęto. Tak to sobie tłumaczą. Gdyby nie było comiesięcznych marszów PiS z podgrzewaniem emocji, wykrzykiwaniem publicznym coraz to nowych zmyślonych zarzutów, to łatwiej byłoby zdecydować o postawieniu pomnika. Myślę, że jeżeli teraz PiS, w oszukańczy sposób przejmując plac Piłsudskiego, postawi tam pomnik ofiarom katastrofy, to stanie się on symbolem różnic narodowych, a nie wspólnej pamięci. Niestety.

– rozmawiała Eliza Olczyk (dziennikarka tygodnika „Wprost”)

STANISŁAW KOZIEJ (UR. 1943)

General brygady Wojska Polskiego w stanie spoczynku, profesor nauk wojskowych. W okresie PRL był członkiem PZPR. Od 1996 do 1997 pełnił funkcję szefa polskiej misji w Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei. Następnie przez rok był zastępcą Szefa Misji OBWE w Gruzji. W latach 1999 – 2001 reprezentował Polskę w Grupie Wysokiego Szczebla NATO ds. Polityki i Strategii Nuklearnej. W 2002 przeniesiony został w stan spoczynku. W latach 2005–2006 wiceminister obrony narodowej, w latach 2010–2015 szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.